

Autor: prof. dr hab. Jadwiga Kiwerska

Podróż Baracka Obamy po Europie

Pierwsza podróż prezydenta Stanów Zjednoczonych do Europy, zaledwie w trzy miesiące od objęcia przez niego najwyższego urzędu w państwie (George W. Bush przyjechał po prawie pół roku urzędowania, w czerwcu 2001 r.), była wydarzeniem śledzonym z najwyższą uwagą. Nie tylko dlatego, że wiązała się z udziałem prezydenta USA w trzech ważnych i decyzyjnych szczytach. Dla większości przywódców europejskich była to pierwsza okazja do spotkania z prezydentem Barackiem Obamą. Oczekiwania były duże i różnorodne. Choćby dlatego, że z nową administracją w Waszyngtonie wiązano po naszej stronie Atlantyku wielkie nadzieje na poprawę wzajemnych relacji, podjęcie skutecznych działań w kwestiach zarówno gospodarczych, jak i politycznych, nowe „otwarcie” w stosunkach z Rosją, wreszcie uruchomienie silnych impulsów wzmacniających nadwerężony Sojusz Północnoatlantycki i poprawiających skuteczność jego działań w Afganistanie.

Nie ma wątpliwości, co do tego, że Obama, podobnie jak w Ameryce, także na kontynencie europejskim cieszy się ogromną sympatią i wielkim poparciem. Już choćby to odróżniało atmosferę, towarzyszącą mu w Europie, od tej, jaką w czerwcu 2001 r. zgotowała George’owi Bushowi zachodnioeuropejska opinia publiczna (także część polityków). Wtedy witano republikańskiego prezydenta jako „truciciela z Teksasu” (ze względu na jego stosunek do porozumienia z Kioto), „syna gwiazdnych wojen” (w związku z intensyfikacją prac nad systemem obrony raketowej), a nawet „ignoranta cowboya” (nie odpowiadał wysublimowanej elicie intelektualnej Europy). Inaczej było jedynie w Polsce, gdzie Bush spotkał się z serdecznym przyjęciem, a przywołane podczas przemówienia w Warszawie słowa z popularnego w Polsce utworu muzyki pop zyskały mu sympatię młodych Polaków.

Nr 13 / 2008

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-Badawczy,
Poznań

Redakcja:
Joanna Dobrowolska-Polak
(redaktor naczelny),
Marta Götz,
Piotr Cichocki

Tym razem, także w Europie Zachodniej, miało miejsce coś zgoła odmiennego. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że amerykański prezydent witany był na kontynencie europejskim niczym gwiazda rocka. Nawet towarzyszące tradycyjnie szczytom przywódców mocarstw i państw demonstracje alterglobalistów, pacyfistów i zwykłych chuliganów tym razem nie wciągnęły na swoje sztandary przywódcy amerykańskiego supermocarstwa. Można powiedzieć, że był to swego rodzaju osobisty sukces prezydenta Obamy. Sprawdziły się też wysoko oceniane zdolności krasomówcze nowego lokatora Białego Domu, który - trzymając się charakterystycznej dla amerykańskich polityków wzniosłej retoryki - potrafił przekazać ważne i konkretne treści.

Pozostaje wszakże pytanie najważniejsze: co udało się nowemu prezydentowi osiągnąć w Europie i czy spełnione zostały oczekiwania europejskich sojuszników. Niewątpliwie Barack Obama był traktowany przez partnerów z Europy jako lider świata Zachodu. Można było nawet odnieść wrażenie, że Europejczycy po erze Busha, którego już na długo przed odejściem z Białego Domu traktowano niczym „*lame duck president*”, oczekują silnego, nowego impulsu z Waszyngtonu, a jego następcą ma ogromny kredyt zaufania, choćby dlatego, że nie jest Bushem. Dlatego wiele pomysłów Obamy przyjmowano czy to w Londynie, czy to podczas szczytu NATO w Strasburgu i Kehl dość ciepło. Doceniano tym samym wysiłek, jaki włożyła demokratyczna administracja w to, aby przekonać partnerów i sojuszników, że zależy jej szczególnie na wzmocnieniu roli dyplomacji, negocjacji i uwzględnianiu różnych punktów widzenia. Warto jednak podkreślić, że po trudnym okresie prezydentury Busha wystarczyło manifestować wolę innego traktowania sojuszników, aby zyskać ich sympatię i mieć gwarancję poprawy w relacjach transatlantyckich. Tak też niewątpliwie się stało. Można powiedzieć, że układ transatlantycki został wzmocniony nie tylko dzięki wzajemnej sympatii istniejącej między przywódcami europejskimi a amerykańskim prezydentem, ale też demonstracji nowego stylu porozumiewania się Ameryki z Europą.

Wydaje się też, że podczas swojej wizyty w Europie przywódca amerykański w żadnym momencie nie musiał czuć tego rozczarowania i bezsilności, które stały się udziałem Busha podczas zeszłorocznego szczytu NATO w Bukareszcie, gdy to – pomimo jego zaangażowania i wysiłków – nie udało się przeforsować planu objęcia Ukrainy i Gruzji specjalnym programem przygotowującym do członkostwa w Sojuszu (*Membership Action Plan – MAP*). Pisano



wtedy, że „Niemcy i Francja wymierzyły Ameryce policzek”, te dwa państwa postawiły bowiem weto wobec planów Busha. Prezydenta Obamy nie spotkał żaden taki afront. Wprost przeciwnie, amerykański prezydent miał okazję „rozdać karty” przy NATO-wskim stole, gdy to przekonał Turcję do wycofania sprzeciwu wobec kandydatury Andersa Fogha Rasmussena na stanowisko sekretarza generalnego Paktu. Wprawdzie przesądziły o tym zaoferowane Ankarze korzyści, ale niewątpliwie znaczenie miał też autorytet Obamy i fakt, że to on prowadził z tureckim prezydentem negocjacje.

Pozostając przy szczycie NATO, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że – choć miał on charakter wyjątkowy, bo jubileuszowy – to raczej nie okazał się być przełomowym. W przeciwieństwie bowiem do tego sprzed dziesięciu lat, gdy w Waszyngtonie świętowano rocznicę 50-lecia istnienia NATO, tym razem nie przyjęto żadnej nowej strategii Sojuszu. A wobec nadwyrężonej spójności oraz osłabionej skuteczności tej organizacji, uchodzącej do niedawna za najbardziej udaną we współczesnych dziejach, potrzeba wypracowania nowej strategii wydaje się bardziej niż nagląca. Wszak NATO stanęło wobec wyzwań trudnych i wymagających zwiększonych wysiłków. Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że rzeczywista weryfikacja tezy o odbudowanej w Strasburgu i Kehl jedności Paktu dokona się podczas prac nad jego nową strategią.

Będzie to też konfrontacja stanowiska Ameryki z punktem widzenia sojuszników europejskich, lub mówiąc dokładniej, z interesami poszczególnych członków Sojuszu. Nie jest bowiem tajemnicą, że administracja Obamy, uznając znaczenie NATO jako organizacji kluczowej dla swego bezpieczeństwa, oczekuje też podjęcia przez Sojusz globalnych zobowiązań. Natomiast część europejskich partnerów przywiązana jest do koncepcji NATO jako przede wszystkim organizacji zabezpieczającej własny obszar. Istnieje wyraźny opór przed tym, aby uczynić z Paktu element i czynnik globalnej polityki Stanów Zjednoczonych. Z taką postawą europejskich sojuszników ścierała się już dziesięć lat temu administracja Williama J. Clintona. I tego oporu nie zdołała wówczas przełamać. Tak więc w tym procesie tworzenia nowej strategii ujawni się realna pozycja i rola Stanów Zjednoczonych nie tylko w NATO, ale generalnie – w układzie transatlantyckim. Sam entuzjazm dla Baracka Obamy już tutaj nie wystarczy.

Przychylność demonstrowana przez europejskich polityków wobec prezydenta USA okazała się jednak czynnikiem przesądającym



w odniesieniu do kwestii Afganistanu. Bez większych trudności sojusznicy z Europy zaakceptowali plan Obamy zakładający m.in. większy nacisk na stosowanie tzw. miękkiej siły w Afganistanie (odbudowa kraju i szkolenie afgańskich oddziałów), ale też postulujący wysłanie tam kolejnych sił europejskich. Młkонтenci podkreślali wprawdzie, że Europejczycy obiecali wysłać głównie policjantów i grupy do szkolenia miejscowych sił bezpieczeństwa, a co do żołnierzy konkretów nie było, jednak i tak uznano to za duży sukces strony amerykańskiej. Także i w tym wypadku najbliższa przyszłość zweryfikuje tezę, czy europejscy sojusznicy są rzeczywiście gotowi współpracować ze Stanami Zjednoczonymi pod Hindukuszem w takim zakresie, jak oczekuje tego Waszyngton i prezydent Obama oraz jak wymaga tego sytuacja.

Jeśli ktoś miałby wątpliwości, czy Barack Obama zaprezentował się podczas wizyty w Starym Świecie jako przywódca supermocarstwa, to te zastrzeżenia usunęło w cień wystąpienie w Pradze. Jego zobowiązanie, że USA podejmą działania, aby zbudować świat bez broni atomowej, stanowiło odwołanie do swoistego paradygmatu amerykańskich zachowań na arenie międzynarodowej – misji dziejowej Ameryki, jej posłannictwa. Przypominało trochę wizję, które swego czasu głosił Woodrow Wilson. Ten wyjątkowy prezydent w atmosferze dramatu I wojny światowej postulował powszechne rozbrojenie jako najlepszą gwarancję wiecznego pokoju. Jego pomysły rozbiły się o europejską rzeczywistość, gdzie było zbyt wiele sprzecznych interesów, zadawnionych konfliktów i gorących sporów, aby zdecydowano się na rozbrojenie. Jednak inicjatywa została zgłoszona i jakieś ograniczone wysiłki w tym kierunku podejmowano. Przynajmniej – bezskuteczne.

W wystąpieniu Obamy nie zabrakło odcienia tego idealizmu, co nadało jego mowie wyjątkowego charakteru, atrakcyjnego dla szerokiej opinii publicznej. Ale był też realizm polityczny, powodujący, że przemówienie to wielu uznało za najważniejsze z jego dotychczasowych wystąpień na temat polityki zagranicznej. Mowa bowiem była o realnych zagrożeniach i amerykańskiej determinacji zmierzenia się z nimi, było otwarcie na dialog, ale też ostrzeżenie wobec opornych.

Jednak bez względu na to, jak bardzo przeciętnemu Europejczykowi przypadło do gustu praskie przemówienie Obamy, to i ta oferta zostanie dopiero zweryfikowana w przyszłości. Czy uda się osiągnąć postęp w budowie świata bez atomu, zależeć będzie od



umiejętności i skuteczności amerykańskiego prezydenta, od odbudowanej wiarygodności i rangi Stanów Zjednoczonych. Ale też w nie mniejszym stopniu od gotowości podjęcia tego wysiłku przez inne strony. Warto zatem zastanowić się, czy w dzisiejszej rzeczywistości, gdy różne siły i grupy, nie posiadające zdolności i woli negocjacji, będą w stanie wyrzec się śmiercionośnej broni w jakiegokolwiek wyobrażalnej przyszłości, lub też czy nie pojawią się takie zagrożenia w innych miejscach. Czy, biorąc to pod uwagę, oferta Obamy nie miała w sobie więcej czystej retoryki, obliczonej na spotęgowanie entuzjazmu tłumów, niż wyrażała realne plany?

Wiele jeszcze innych pytań pozostanie bez odpowiedzi, ale niewątpliwie podróż Obamy do Europy potwierdziła, że obecna administracja chce przede wszystkim zmanifestować nowe, inne podejście do relacji z europejskimi sojusznikami, stawia na dialog i negocjacje, ale też oczekuje wsparcia i zaangażowania w rozwiązywanie światowych problemów. Obie strony układu transatlantyckiego stanęły więc przed koniecznością sprostania wspólnym wyzwaniom.





Nr 13 / 2008

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-Badawczy,
Poznań

ul. Mostowa 27 A,
61-854 Poznań,
tel. 061/852 76 91,
fax 061/852 49 05,
e-mail: izpozpl@iz.poznan.pl,
www.iz.poznan.pl

CZASOPISMA INSTYTUTU ZACHODNIEGO:

- „Przegląd Zachodni”
- „WeltTrends. Zeitschrift für internationale Politik und vergleichende Studien”
- „Siedlisko”
- „Biuletyn Instytutu Zachodniego”

NOWOŚCI WYDAWCZNICZE INSTYTUTU ZACHODNIEGO:

- M. Rutowska, Lager Główna. Niemiecki obóz przesiedleńczy na Główniej w Poznaniu dla ludności polskiej (1939-1940), Poznań 2009;
- Ślązacy, Kaszubi, Mazurzy i Warmiacy – między polskością a niemieckością, red. A. Sakson, Poznań 2008;
- B. Koszel, Polska i Niemcy w Unii Europejskiej. Pola konfliktów i płaszczyzny współpracy, Poznań 2008;
- M. Götz, Czynniki wzrostu gospodarczego związane z wiedzą. Niemcy na tle Unii Europejskiej, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 48/2008, Poznań 2008;
- P. Kubiak, Początki wielkiej koalicji w Niemczech (2005), „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 49/2008, Poznań 2008;
- J. Kiwerska, Osłabione mocarstwo. Pozycja USA w świecie po ośmiu latach prezydentury George’a Busha, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 50/2008, Poznań 2008;
- I. Romiszewska, Banki niemieckie w Unii Europejskiej, „Zeszyty Instytutu Zachodniego: nr 51/2009, Poznań 2009.

